Nr. 2. Lwów, 16. Stycznia 1895. V. Rok.

Wychodzi raz na tydzień.

Prenumerata wynosi we Lwowie:

Rocznie . . . 8 złr. 50 ct.
Półrocznie . . 4 „ 30 „
Kwartalnie . . 2 „ 20 „
Miesięcznie . . — „ 75 „

Numer pojedyńczy kosztuje 20 ct.

Rękopisów drobnych nie zwraca się

Listów nie opłaconych Redakcya nie przyjmuje.

MYŚL

TYGODNIK

literacko-społeczny i polityczny

Adres redakcyi i administracyi: ul. Podlewskiego l. 9.

Prenumerata na prowincyi i w całej Austro-Węgierskiej monarchii wynosi.

Rocznie . . . 9 złr. 30 ct.
Półrocznie . . 4 „ 70 „
Kwartalnie . . 2 „ 40 „

W Niemczech: rocznie 19 marek, półrocznie 9·50 kwartalnie 4·75:

We Francyi: Rocznie 34 fr. - kwartalnie 8 fr.50.

Dźwigamy się...

Wszelka myśl dodatnia płodną jest w następstwa i owoce, które stają się udziałem i własnością całego społeczeństwa. Taką myślą było urządzenie Wystawy powszechnej krajowej w roku ubiegłym. Dziś zdajemy sobie już sprawę nie z moralnej tylko wartości dzieła, na które patrzyło przeszło milion oczu, ale i z rezultatów, które Wystawa przyniosła i jeszcze przyniesie niezawodnie krajowi pod względem ekonomicznym.

Wystawa roku ubiegłego wyprowadziła z ustroni i z ukrycia wiele płodów ludzkiej pracy na widownię, na światło słoneczne; wykazała ile kryje się cichej pracy, zręczności i myśli w społeczeństwie, które do chwili wystawy poczytywało się za upośledzone na niwie realnej pracy cywilizacyjnej.

Podczas trwania samej wystawy, dziwiliśmy się wielokrotnie, że ten lub ów przedmiot został wykonany w kraju, i wykonany bez pomocy zasobów i pomocniczych środków technicznych.

Skonstatowaliśmy tedy najpierw, że nie możemy narzekać na brak jednej z cnót kardynalnych każdego społeczeństwa, które chce być i mieć przyszłość, mianowicie, na brak wytrwałości. Stwierdziliśmy dalej, że jesteśmy bogatsi w cały zastęp ludzi, którzy potrafią bez rozgłosu pracować.

Natomiast ludzie zasobni w kapitały spostrzegli, że mogą zapasy swoje korzystniej i z prawdziwym pożytkiem dla kraju lokować w przedsiębiorstwach przemysłowych, niż, jak dotychczas deponować w bankach.

Przekonanie to wynieśli z Wystawy, ponieważ widzieli, że nie brak w kraju ani wiedzy fachowej, ani zręczności, ani sumienności w wykonaniu wielu przedmiotów, za które kraj i społeczeństwo płacić musiały dotychczas obcym.

Wystawa tedy miniona zrodziła wiele nowych myśli i pomysłów. Jeszcze w ciągu jej trwania nie tylko zrodziło się kilka projektów założenia towarzystw akcyjnych, ale myśli te przeszły w postanowienia i czyny.

Między innemi powstała, krzewiła się szybko i została wykonaną myśl utrwalenia przemysłu cukrowniczego. Towarzystwo akcyjne wyrobu cukru już powstało. Pokazuje się z tego, że nie brakło w kraju kapitałów, lecz trzeba było jeno bodźców silniejszych i pobudki. Temi były ukazane w rzeczywistości płody kraju, widziane na wystawie. Kiedy się pomyśli, ile to ludzi znajdzie zajęcie przy każdem nowo powstającem przedsiębiorstwie, mimowoli ciśnie się pod pióro zdanie: wszystko to dzięki Wystawie i jej inicyatorom.

Ubolewają wprawdzie dość głośno, że w mniejszym, codziennym handlu, daje się uczuwać po Wystawie pewna *depresya*, ale, pytamy czy fakt, że na jakiś czas zmniejszy się obrót drobiazgowego handlu, można brać w rachunek wobec otwierającego się pola dla donioślejszej akcyi przemysłowej? Szanujemy i pośrednictwo uczciwe, ale nigdy pośrednictwo, czyli sam *handel nie przyczyni się w tej mierze do wzmocnienia podstaw ekonomicznych, co produkcya czyli wytwórczość przemysłowa.*

W tworzeniu każdem jest iskra Boża — w pośrednictwie tylko zmysł ludzki.

Do twórczości tedy, do obudzenia jej, przyczynił się popis sił nowych, a dziś mamy także do zapisania jeden z dodatnich objawów, którego matką była bądź co bądź wystawa.

Objawem tym — jest założenie pierwszego galicyjskiego Towarzystwa akcyjnego budowy wagonów i maszyn w Sanoku, przedtem K. Lipińskiego.

Na zaproszenie dyrekcyi Banku krajowego odbyło się zebranie subskrybentów.

Dyrektor Banku krajowego dr. Zgórski zdał sprawę z dotychczasowych czynności, przeprowadzonych w celu założenia akcyjnego Towarzystwa. Podniósł on, że dotąd subskrybowało 43 osób kapitał akcyjny w sumie 400.000 złr., a nadto kilka osób zapowiedziało znaczniejszy udział w Towarzystwie.

Według przyjętego statutu, Bank krajowy i fabryka maszyn i wagonów p. Lipińskiego zakładają Towarzystwo akcyjne, z siedzibą we Lwowie. Celem Towarzystwa jest fabryczny wyrób, naprawa i sprzedaż wagonów wszelkiego rodzaju dla kolei parowych, elektrycznych i konnych, wszelkich maszyn, przyrządów mechanicznych i t. p.

Kapitał Towarzystwa ustanawia się na milion koron, przez wydanie 2.000 akcyj na okaziciela po 500 koron. Kapitał ten może być podwyższony w miarę potrzeby do łącznej sumy 2 mil. koron. —

Obyśmy potrafili tradycyę wystawy utrzymać na wysokim poziomie energicznej pracy wytwórczej, zerwawszy raz przecież z niedołęstwem i apatyą.

Marja Konopnicka.

Ze wspomnień o Teofilu Lenartowiczu.

(Duchowe oblicze poety).

(Ciąg dalszy).

Praca umysłowa starych ludzi, jeżeli wyjdzie bezimiennie, może zrobić pewne wrażenie; z imieniem autora żadnego a czemu, na to mój Sokrat odpowiada:

„Starcom umierać należy, wstrętni są młodym umysłom,
Tego co z nimi wyśmieją, tego co przeciw zabiją!“

Gdyby Mickiewicz w późnym wieku napisał był swoją „Odę do młodości“, czy zrobiłaby jakie wrażenie? Odyssea jest piękniejszym poematem od Iliady, ale, że ją mniemają napisaną w starości, krytyka nazywa ją dziełem drzemiącego Homera. Najpiękniejszy poemat Huga, (jak nic podobnego nie napisał), „Śmierć szatana“ (pośmiertny) jakże przyjęto? Kto o nim się rozpisuje? A czemu? bo napisany w starości. Dantejskie piekło najwięcej się podoba, choć jest niewypowie-

dzianie niżej (jako idea i poezya) od czyśca, ale pierwszą część pisał młodym.

Nie... poezya jest dzierżawą młodych i jest w tem racya: społeczeństwo ogląda się za wagą nietylko słów, ale i czynów, których rękojmi zniszczone siły już nie dają.

— Nigdy ja o sobie nie miałem wielkiego wyobrażenia i całą moją namiętnością, pretensyą może było wsłuchiwanie się w głosy natury niezepsutej, które nie powiem, żeby mi się udało oddać w słowie.

„Z ust tych słyszane potrącam słowa,
Lecz się wiernością wielką nie chwalę,
Kryształem była śpiewaka mowa,
A w moim męty ujrzysz krysztale".

Byłem na drodze, przyszły burze i zwichnęły drzewo mojej wyobraźni....

— Są dusze, do którychbym pielgrzymkę piechotą odprawił rad, jak do cudownego miejsca....

— Wiesz co o Jeżu powiem? Ma on takie struny stepowe, jakich ani Bohdan, ani Goszczyński nie znali.. Tkliwa a mocna dusza, widok osobliwy, nad szeroką stepową lirą wietrzną siłę zaklęć ma....

— Po zgonie Józefa (Kraszewskiego) ciężko mi i uspokoić się nie mogę, jakbądź życzyłem mu śmierci, patrząc na ciągłe konanie; jednej chwili nie było, w którejby nie cierpiał. Strach! wszystko było zrujnowane i tylko wolą trzymał się ziemi — gwałtem żyć chciał....

Z Warszawy piszą mi, że tam go obrabiają teraz biedaka, odmawiają zdolności, pomiatają....

Ależ bo my posiadamy osobliwą skłonność do pogrzebów — pochowamy świetnie, a potem na grób naplujem. Grzebiemy prochy i grzebiemy ducha, pro pous jakiegoś nowego Gyganta (niby olbrzyma) i na cześć takowego piszcząc, świszcząc, wierzgając, wyprawiamy hekatombę z biednych stu cielat przeszłości....

— Najszczęśliwszym ze wszystkich piszących był zmarły Bohdan. Biedy, nędzy, nigdy nie doświadczył, złości, potwarzy, żółci wściekłych, żmij nigdy, zdrowie nie opuszczało go do samej śmierci, nigdy nie chorował, przyjaciół koło szerokie zawsze go otaczało, dobre słowo i życzliwość najznakomitszych posiadał, dożył 84 wieku życia, nic nie tracąc z władz umysłowych, a po zgonie prawie że go do apoteozy przyjaciele podnoszą i czegoż więcej życzyć sobie można? Tego chyba, żeby zobaczyć sen swój wyśniony, czego on nie zobaczył....

Z literatów starych nikt mi nie pozostał teraz prócz Aleksandra Chodźki. Jedyna to za krajem figura seryo naukowa, a Klaczko druga.

W kraju, prócz Małeckiego we Lwowie prawie nikogo nie znam. Za wielkie to na mnie, małego mazura, pany. Poczciwy Kraszewski jeden był bez pychy. Adam Asnyk, jasna to dusza, która zużywa swoje siły na niewdzięcznej niwie. Hugo Foscolo wyczytał gdzieś w statutach Bardów skandynawskich, że im zabraniały mięszać się do waśni politycznych. Bardowie śpiewali wprawdzie i wojnę i pokój, występując w chwilach stanowczych, ale powszednie kłótnie obce im były. Protagonistom nie mięszać się do chórów! Co wywalczyli w parlamentach Byron albo Wiktor Hugo? Nic. Niech masy idą za natchnieniem poetów, ale oni ptaki górne, niech samotni zdala kłótni pozostają.

— Heysego znałem tu w oryginale, przez długi czas czas bowiem przebywał we Florencyi i ze starym Fransonim, który mnie swoją przyjaźnią zaszczycał, w bliskich był stosunkach. Powieściopisarz i poeta znakomity, ale Niemiec ze wszystkiemi nienawiściami do Francuzów i Słowian. A dziwna rzecz, bo po za tem natura marząca, poetyczna, pełna tej ślicznej fantazyi, do której szczęśliwi tylko mają prawo.

— Czy ich licho Taina i Brandesa, już nie mówiąc o poetyce Horacyuszowej i nieśmiertelnym Boileau! Kij od dawna leży na ziemi, a barany estetyczne rozpędzają się i skaczą na wysokość trzymanego! Co oni choćby oczy wypatrzyli innego w poecie prócz poezyi szukają!...

— Ej grzebią u nas ludzi, grzebią. .. Ledwie dym jednych pochodni przewieje, już się gdzieś zapalają drugie. już trzecie, że aż w głowie się miesza od tego dymu...

Ledwie pochowali Mieczysława Darowskiego, już ci niosą Tytusa Chałubińskiego Poczciwy, zacny Tytus, którego znałem od roku 1846, ileż to wieczorów z nim razem przepędziłem! Doktor, marzyciel, humanista.... Ignaś Komorowski śpiewał mu piosnki pierwsze moje, do których nuty dorabiał, Kaliny. Maćki, Sieroty, Oryle, Kurpie i Pan Bóg nie wie co, a Chałuba wzdychał, wielkimi krokami się przechadzając.

Pamiętasz — mówił do mnie w r. 1875, kiedyśmy się spotkali w Krakowie — ulicę Przejazd i nasze muzykowania? Ha cóż! ideje nie prędko kwitną i nie prędko owocują, ale to niech nas nie zniechęca; trzeba iść, trzeba iść zawsze naprzód!" Byłem u niego w hotelu Saskim, poznał mnie ze swoją żoną i córkami — był u mnie potem w parę lat we Florencyi, zawsze ten sam, zawsze młody, sercem i umysłem, zdawało się, że czas go nie pokona, a czyliż go pokonał? Nie, to on zwyciężył czas nieśmiertelnością swojego ducha. Przysłał mi książki nowych historyków naszych, zawsze uczynny, zawsze

---

Bez przyszłości.

(Obrazek jakich wiele).

(Ciąg dalszy).

Pan adjunkt nie poprzestał jednak na tem. milczenie Móla widocznie go niecierpliwiło, upakarzało może.

— Uważasz pan, panie Mól, ja jestem także zwierzchnikiem pana....

— Już od miesiąca blizko mówisz mi pan o tem....

— Tak, jestem zwierzchnikiem — powtarzał z naciskiem — ale nie chodzi tu wcale o mnie, pragnąłbym tylko, aby w naszem biurze przestrzeganą była subordynacya, poszanowanie starszych...

Mól nie wiedząc o co chodzi, zdziwionem okiem spoglądał na Lizunka, który z miną wyniosłą, zawsze zwrócony do winowajcy ciągnął dalej:

— Panie Mól! nie jest to pierwsze opuszczenie z pańskiej strony... niedawno pan radca widział pana....

— Gdzie?

— Stałeś pan na rogu Teatralnej....

— Więc?

— Pan radca przechodził właśnie koło pomnika Jabłonowskiego.

Mól widocznie cierpliwość stracił.

— Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli wiem o co chodzi! wykrzyknął.

Lizunek przybrał poważną minę.

— Nie ukłoniłeś się pan panu radcy.

— Ależ nie widziałem go, jak ciocię kocham!

— Żartujesz pan sobie... a przecież pan radca dojrzał i był tyle delikatny, że niegrzeczność przebaczył panu. Tu głos Lizunka przybrał znowu odcień powagi, właściwej zwierzchnikowi, broniącemu swojej godności; chciał coś mówić dalej, ale Mól przerwał mu:

— Panie Lizunek, zważ pan tylko — mogłem przecie nie widzieć na pół kilometra od siebie pana radcy.

— Nie o to chodzi — przerwał mu żywo Lizunek — ale o zasadę... rozumiesz pan?

— O jaką zasadę?

— Poszanowanie starszych....

Czuć było, że Lizunek chował jakąś urazę osobistą do Móla i korzystał tylko ze zręczności, aby chudego dyurnistę „kunirować".

— Tu wcale nie chodzi o mnie panie Mól — rzekł po chwili — ale o pana radcę... Przecież gdybyś pan kapelusza uchylił przed zwierzchnikiem, nie spadłaby panu korona z głowy.

— Zdaje mi się — zauważył pokornie Mól — że brakiem uszanowania dla zwierzchników nie grzeszę wcale: dziś, spotkałem się z panem radcą na progu korytarza a przecież bez zdjęcia kapelusza nie obeszło się; przed paru dniami czyż nie powiedziałem panu: padam do nóżek w takiem miejscu, że nikt by mi za złe nie wziął, gdybym do nóżek nie upadł....

Lizunek udobruchał się nieco i tonem przyjacielskiej rady rzekł:

dobry, dziwnie uprzywilejowana natura. Czemuż się innym choć dziesiątej części tej dobroci nie dostało!...

— Nie śmiej się ze mnie, jeśli ci powiem, który dziś śpiewak panuje u nas: oto Bekwark ów z czasów Batorego:

w Krakowie *Beck*
w Warszawie *Wark*

Jedni beczą, a drudzy warczą na siebie; a kiedyż Kochanowski zawładnie sercami? Kiedyż się pokochają?

(C. d. n.)

Z CHWIL CZARNYCH.

II.

Tam gdzieś w błękitach stała,
Gdzieś wpośród słońc tysiąca,
W śnieżnej obsłonie biała,
Milcząca.

W koronie z gwiazd nad czołem,
Od ziemskiej wolna pleśni;
I była skarg aniołem
I pieśni.

A duchów jasne grono,
Owiane mgły złotemi,
Śpiewało pieśń natchnioną
O ziemi,

Jak Niob ona stała,
Tęsknotą dum przejęta;
Ku ziemi wzrok zwracała
Ta święta.

Stojącą w niebian chórze
Poeta ujrzał młody,
Gdy z gwiazdą biegł w zawody
W lazurze.

I odtąd pieśń wesoła
Okryła się żałobą,
Gdy ujrzał skarg anioła
Przed sobą.

A gdy ów anioł złoty
Rozpłynął się w obłoku,
Został mu ból tęsknoty,
Łza w oku.

Na wspomnienie zjawiska
Chmurnieje twarz mu blada
I z oczu łez wytryska
Kaskada.

J. Nitowski.

Z OGNISK SZTUKI.

Sprawami sztuki zajmuje się nasze społeczeństwo mniej lub więcej tyle, co literaturą, tj. prawie wcale. Znawstwa prawdziwego nie znajdziesz wśród tak zwanych powszechnie „inteligentników“ ani krzty, gdyż przeważna część tych panów przekłada „żywe kawałki“ nad malowane, mimo to jednak od czasu do czasu nadarzy się taki nabab galicyjski, często nawet między „młodą szlachtą“, który *kupi sobie* obrazeczek. Otóż, gwoli wiadomości naszych nababów oraz tych osób, które udają, że uczęszczają na wystawę sztuk pięknych, powodowani wyłącznie miłością sztuki, zamieszczamy poniżej komunikat krakowski, który wyjaśnia dokładnie i faktycznie zmiany w organizacyach naszych ognisk sztuki.

Przy tej sposobności z radością i wielką życzliwością witamy *nowe samoistne Towarzystwo* we Lwowie, któremu życzymy nietylko dużego powodzenia ale i wielkiej siły odporności i mocy wytrwania w walce z lokalną, bezgraniczną apatyą i nepotyzmem galicyjskim względem „rzeczy niepraktycznych“.

Dyrekcya Tow. sztuk pięknych w Krakowie przesyła nam następujące pismo:

„Wskutek śmierci nieodżałowanego Henryka Rodakowskiego opróżnionem zostało miejsce prezesa Tow. przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie. Na posiedzeniu dyrekcyi dnia 13 b. m. przystąpiono do wyboru członka dyrekcyi w miejsce zmarłego, tudzież nowego prezesa. Jednomyślnością głosów wybrany został hr. Edward Raczyński, poseł na sejm krajowy, wiceprezesem zaś p. St. Tomkowicz. Pośpiech był tu tem więcej wskazany, iż właśnie z Nowym Rokiem 1895 organizacya Towarzystwa weszła w nową fazę. Wiadomo, że istniejące dawniej Tow. Przyj. Sztuk pięknych we Lwowie, przed kilku laty zaproponowało krakowskiemu zlanie się w jedno pod nową nazwą:

— Pan jesteś młody, mógłbyś pan jeszcze zostać adjunktem a nawet radcą, ale nie należy zapominać, że trzeba kłaniać się... kłaniać się... kłaniać się, chociażby przed każdym osłem.

— No, no, no.... ja tak i robię — przerwał Mól.

Jakkolwiek odpowiedź Mola wydała się Lizunkowi bardzo dwuznaczną, udał, że się tego nie domyślał, tembardziej, że Mól okazywał niezwykłą pokorę. Tłómaczył to sobie wcale czem innem: dziś właśnie było 29 lipca, jutro miała się wypłacać pensya; dzień ten dla wszystkich dyurnistów miał wielkie znaczenie, bo nietylko wypłacała się pensya, ale rozstrzygały się ich losy: który podobał się — zostawał nadal, który nie — puszczano go bez ceremonii na zieloną paszę, nie krępując się wcale tem, czy robota dla niego była lub nie, a jeszcze mniej tem, co się z dyurnistą stanie potem. Na miejscu jednego stawało zawsze pochylonych, pokornych i głodnych dwudziestu — można więc było wybrać między nimi najpilniejszego i najpokorniejszego; o rzeczewisty uzdolnienie wcale nikomu nie chodziło.

Ledwie sprawa wytoczona przez Lizunka Molowi o niegrzeczność zatarła się nieco, kiedy około południa na progu kancelaryi ukazała się postać pana radcy. Stanął twarzą zwrócony ku pochyłonym nad stolikami skrybentom, z podełba spoglądającym na pana Mazurzystę, który w obu rękach szeroko rozwarty arkusz gazety trzymał. Odchylił nareszcie gazetę na bok i wyraźnie, zwróciwszy się do Lizunka, rzekł:

— Już dalej nie wiem co przyjdzie do głowy tej inteligencyi... Używają takich wyrazów jak transcendentalizm! Pięćdziesiąt lat czytuję gazety a z czemś podobnem jeszcze mi się spotkać nie zdarzyło. Trans-cen-den-ta-lizm — mówił dzieląc wyraz na zgłoski — was ist den das?

Na pytanie tak wyzywająco postawione żaden odpowiedzieć nie śmiał; śród ciszy podniosła się nad stolikiem pana Lizunka czupryna, potem ręka, która namarszczone czoło pogładziła, a następnie odezwał się głos poważny pana adjunkta:

— Ich glaube das ist etwas astronomisches.

Mazurzysta znaczący giest za pomocą podniesienia ramion wykonał i odrzekł:

— Naturlich, aber... — nie skończył, obrócił się na progu i w pokoju zniknął.

— Pan ma racyę — zauważył Mól zwróciwszy się do Lizunka.

— Wiedziałem, że to coś z astronomii — rzekł Lizunek — nie mogłem sobie tylko przypomnieć co... Już o tem była kiedyś mowa w naszej kancelaryi.

(C. d. n.)

„Zjednoczone Towarzystwo Przyj. Sztuk pięknych w Krakowie“. Gdy cel przez to zamierzony podniesienia zamiłowania sztuki w stolicy kraju osiągniętym został, a miłośnicy sztuki we Lwowie uznali, że stosunki miejscowe pozwalają prowadzić te sprawy samoistnie — za wspólnem porozumieniem i zgodą Lwowa i Krakowa — nastąpił obecnie rozdział, tak, że we Lwowie powstało niezależne od Krakowa Towarzystwo Przyj. Sztuk pięknych, które objęło działalność dotychczasowej reprezentacyi lwowskiej; w Krakowie zaś istniejące nadal, jak dawniej: „Towarzystwo Przyj. Sztuk pięknych“ zwinęło swoją reprezentacyę lwowską i przybrało napowrót dawną nazwę z odrzuceniem czasowego dodatku „Zjednoczone“. Aby ułatwić rozwój tego nowego Towarzystwa, uchwalono oddać temuż na własność cały inwentarz, jaki się dnia 31 października 1894 r. znajdował w lokalu wystawy lwowskiej „Zjednoczonego Towarzystwa“. oraz zostawić remanent kasowy, jaki się okaże przy zamknięciu rachunków za r. 1894 tytułem pożyczki aż do 1 lipca 1895 roku. Układ ten nietylko sprowadził uproszczenie interesów, ale nadto przez pp. artystów — co było głównym dla dyrekcyi względem — ogólnie za korzystny dla nich uznany został. Wobec niezgodnych i często bezpodstawnych wieści, o tej sprawie krążących po dziennikach, pospieszamy z ogłoszeniem istotnego stanu rzeczy“.

Nawiązując do powyższego komunikatu, możemy już teraz donieść o ukonstytuowaniu się *samoistnego lwowskiego Tow. sztuk pięknych.* W skład dyrekcyi wchodzą pp. Wł. Łoziński, jako przewodniczący, dr. Bołoz-Antoniewicz, Bełza Władysław, hr. Borkowski Jerzy, Czapelski Tadeusz, ks. Lubomirski Andrzej, Makarewicz Julian, Mikolasch Juliusz, Młodnicki Karol, radca dworu Seferowicz Jan, Szajer Karol, ks. dr. Skrochowski Eustachy, Styka Jan, dr. Till Ernest, Zacharjewicz Julian, dr. radca Zygadłowicz Alfred.

Do komisyi znawców weszli pp. Barącz Tadeusz, Batowski Stanisław, Dębicki Stanisław, Seferowicz Jan, ks. prof. Skrochowski Eustachy i Styka Jan. Możemy się podzielić z Czytelnikami arcyważną dla przyszłości naszego Tow. wiadomością, że już na pierwszych posiedzeniach dyrekcyi omawiano bardzo poważnie kwestyę *budowy nowego gmachu* dla lwowskiego salonu sztuk pięknych, którego pomieszczenie obecne jest niemożliwie szczupłe. Fakt ten, świadczący o wielkiej zapobiegliwości dyrekcyi, jest pięknym zadatkiem przyszłej działalności nowego zarządu, któremu chyba nikt nie odmówi poparcia i zachęty.

Dla informacyi podajemy, że członkowie Towarzystwa mają prawo:
a) wolnego wstępu dla siebie oraz swojej najbliższej rodziny na nieustające wystawy dzieł sztuki urządzone przez Towarzystwo;
b) do udziału w losowaniu dzieł sztuki zakupionych w tym celu przez Towarzystwo;
c) otrzymują bezpłatnie za każdy bilet roczny po jednym egzemplarzu z premii, wydawanej corocznie nakładem Towarzystwa;
d) korzystają z możności zakupna dzieł sztuki na raty.

Członkiem dożywotnim (stałym) zostaje, kto złoży naraz conajmniej sto złr. w. a. na rzecz Towarzystwa, nabywa wtedy na całe życie wszelkich praw do korzyści § 7. statutu Towarzystwa zapewnionych.

Cena familijnego biletu rocznie 5 złr. 10 ct. albo marek niem. 9. a rubli 4.

WOLNE MYŚLI.

(FEJLETON).

„Więcej powietrza, bo duszno!“ Taki okrzyk niemal jednogłośnie wydały dwa magistraty: lwowski i krakowski. Widocznie zaczyna się coś naprawdę psuć w państwie autonomii wielkomiejskiej, kiedy w stolicy wybitny urzędnik musi się przed trybunałem państwa usprawiedliwiać z tego, że brał „podarunki“ i zostaje zasądzony na 6-cio tygodniowy areszt a w drugiej stolicy reprezentacya miejska uwalnia od obowiązków radcę magistratu, najpopularniejszą powagę, i komisarza obwodowego. Jak się przedstawia lwowska sprawa kubaniarska wiedzą tutaj wszyscy a na rozprawie p. Kamińskiego dochodziły nas głosy, że obwiniony: „to tylko jeden z wielu, których prędzej czy później los podobny spotkać musi“. A więc puryfikacya na całej linii, pytanie tylko, czy będzie ona konsekwentnie i wytrwale prowadzoną, bo nie ulega wątpliwości, że byłaby ona dla lwowskiego magistratu zbawienną.

* * *

Dziwne wrażenia odnieśliśmy na odczytach p. Gawrońskiej: „O głównych prądach literatury francuskiej w XIX w.“. Powiadamy wyraźnie, *na odczytach,* a nie z odczytów, gdyż te, jako wyśmienicie charakteryzujące główniejsze prądy i kierunki piśmiennictwa francuskiego, zasługują pod każdym względem na to, aby im na innem miejscu odpowiednie poświęcić uwagi. Zanim uczynimy to, po ukończeniu przez p. G. seryi prelekcyi — musimy zaprowadzić łaskawego czytelnika na chwilę do małej salki szkoły przemysłowej, ażeby się mógł rozejrzeć w audytoryum niewieściem, które prawie wyłącznie stanowi grono słuchaczy p. Gawrońskiej. Są to przedstawicielki różnego wieku i snać różnego stopnia inteligencyi. Jedne zainteresowały się głównie tem, czy i które z ich znajomych pań będą na odczycie a zaspokoiwszy swą ciekawość w tym kierunku, już na drugi wcale nie przyszły. Inne znowu zwabione zostały na drugą tylko prelekcyę, a prócz małej garsteczki pań (starszych), które widocznie sam przedmiot odczytu i jego prelegentka przyciągnąć zdołały — szanowne słuchaczki ciągłem oglądaniem się wzajemnem i że tak powiem, niemem plotkowaniem wywarły na mnie wrażenie siedzących na chińskiem kazaniu. A przecież warto było posłuchać uważniej, bo tak gruntownych, pomimo swego szkicowego charakteru i z umysłu przystępnych wykładów, dawno już nie słyszeliśmy w naszem coraz bardziej „farsowo“ usposobionem miasteczku. Organ dla kobiet p. n. *Przedświt* widocznie nie był reprezentowany na odczycie, na którym p. A. Gawrońska mówiła o pani de Staël, gdyż kazał zawołać jej: szukajcie *nieśmiertelności dziewiczej* (sic!); myśmy jako żywo tego zwrotu nie słyszeli z ust prelegentki, widocznie więc „nieśmiertelna dziewica“ jest nowym zupełnie i, co prawda, bardzo oryginalnym wytworem niewieściego przedświtu mózgowego.

* * *

Z Krakowa piszą nam: „Na wezwanie wasze śpieszę z wiadomościami“, a nie moja w tem wina, że są one natury ujemnej, ba, nawet skandalicznej. W magistracie, jak zapewne wiecie, rozpoczęło się „generalne uprzątanie“, bo p. prezydent Friedlein zarządził, aby wszystko oczyszczać gruntownie. Dymisya, udzielona dwom miejskim urzędnikom, pp. Turnauowi i Gromczakiewiczowi narobiła dużo hałasu w naszym plotkarskim partykularzu, choć gdzieindziej przechodzi się nad taką sprawą spokojnie do porządku dziennego. U nas jednak zatrąbili na gwałt: jedni wołają, że p. Turnau nic nie winien, tylko jakiś radca miejski, inni znowu pochwalają bezwzględnie uchwałę puryfikującej rady. Chcąc rzecz całą dokładnie zbadać i wydać sąd bezstronny, trzeba poczekać, gdyż nie wszystkie szczegóły tej afery przedostały się jeszcze do wiadomości publicznej. Niebawem, zdaje się, będę mógł Wam przesłać ciekawsze informacye w tym kierunku, tymczasem zaś nie mogę zamilczeć o nowej aferze karcianej, która jest j... stanowczo wstrętną i rzuca brzydkie światło na stosunki krakowskie. Oto, w domu człowieka poważnego, który do niedawna zajmował wybitne stanowisko artystyczne, odkryto „spelunkę“, w której „obrabiano“ bogatych i lekkomyślnych ludzi, za pomocą znaczonych kart. Znanego na bruku tutejszym goga osadzono w areszcie, podczas gdy wybitniejszy i zamożniejszy zdołał ulotnić się.

Nędza, nieszczęście może niejedno usprawiedliwić, ale prosta grabież pod świetnemi pozorami, zasługuje na publiczne potępienie.

* * *

Z Poznańskiego dochodzą nas żale, iż komisya kolonizacyjna, niemogąc osiedlać tam więcej niemców rocznie nad 250 do 300, wpadła na pomysł zakładania banków na kształt tamtejszego Ziemskiego i t. d. i osiedlania prywatnie parcelowanych większych posiadłości. Otóż, komisya, od czasu jej istnienia zakupiła już przeszło 300 majątków polskich czyli iż znalazło się przeszło trzystu, b. obywateli ziemskich, a w chwili sprzedaży przeszło trzystu nędzników, którzy niemcom przefrymarczyli dziedzictwo przodków. Pytanie, czy komisya miałaby racyę bytu w Poznańskiem, gdyby wiedziała była, iż niema tam przeszło trzystu nieponiów i niegodziwców, którzy kraj po cząsteczce wrogowi zaprzedadzą — dawno już zostało rozstrzygnięte. Zlynchowani dawno moralnie dojadają teraz powolnie pieniądze w Berlinie i w Paryżu. Wobec tego jakże wspaniale wyglądają podrujnowane panki z Królestwa, którzy nie łażą do Moskali, ale z ojca na syna porażeni pracowstrętem dziedzicznym, najmują się bankierom dla poprawienia... rasy. Co do mnie, zawsze wolałem stadników niż zdrajców.

Bywają czasem takie położenia, iż sprzedać ojcowiznę potrzeba; wtedy jednak zwraca się do ofiarności ogółu, żebrze się, poniża, chwyta się za kolana publicznie wielkich, obcinających kupony pasibrzuchów — ale nigdy nie czapkuje się i nie błaga pomocy u

Niemców, bo to hańba... srom nad sromy. W takich razach nic nie usprawiedliwia niegodziwca, sprzedającego swój łan wrogowi.

* * *

W chwili, gdy oddajemy numer pod prasę — telegramy roznoszą po świecie obok rezygnacyi prezydenta rzeczypospolitej francuskiej — listę nowych *parów*. Polaków powołano do austr. izby panów wbrew przewidywaniom tylko czterech, mianowicie: Zdzisława Marchwickiego, Jana Czajkowskiego, Fr. hr. Mycielskiego i Jana hr. Stadnickiego. Zasługi dr. Marchwickiego położone dla kraju są tak wybitne i powszechnie uznane, że odznaczenie, jakie spotkało prezydenta lwowskiej izby handlowej i dyrektora wystawy krajowej uważamy za zupełnie naturalne uwieńczenie wielkiej pracy i talentu, i dobrze się też stało, że wysoką godność udzielono nie za samo „trzymanie się prawicy“ lecz za dzieła konkretnej wartości.

Parostwo dra Czajkowskiego prezesa izby adwokackiej i znanego prawnika, jest splendorem dla naszej palestry. Wreszcie panowie; Jan Stadnicki i Fr Mycielski, zwłaszcza zaś pierwszy, mniej się krajowi a więcej za to swemu stronnictwu zasłużyli.

Pani Séverine.

(Sylwetka literacka)

Była to córka poczciwych rodziców, wychowana w sferze średniomieszczańskiej. Gdy dorosła wydano ją za mąż. Powiła dwoje dzieci i na przyjęciach i wieczorach reprezentowała godnie nazwisko małżonka.

Życie sączyło się tak przez lat kilka, potokiem czystym, z brzegami okrytemi darniną. Ale ciągnął się on paskiem równym i równym i kwitło nad nim ledwie kilka jaskrów, a gałęziami szeptały tylko monotonne wierzby, nie przerastające pewnej wysokości, z liściem zawsze blado zielonym.

Naraz pewnego dnia w Brukseli, gdzie bawiła z rodziną zaprzyjaźnioną Guebhardów, poznała staruszka, którego imię słyszała; Jules Vallès. Był wówczas na wygnaniu. Dotarł ledwie do pięćdziesiątki, włos już życie zbieliło. Ale na twarzy świecił uśmiech życzliwy, a uścisk dłoni był serdeczny i mocny, niby starego przyjaciela.

I nie minęło kilka tygodni młoda kobieta i starzec, niestrudzony szermierz wolności, żegnali się jak para druhów.

Innem łożyskiem odtąd popłyną żywot pani Séverine. W r. 1881 Vallès wrócił do Paryża, pisma Réveil, Gil Blas, la France, le Matin zyskały w nim współpracownika. W umyśle jego kiełkowały znakomite powieści: „Dziecko“, „Student“, „Zbuntowany“, żywa księga szkiców: Ulica w Londynie. Po dwóch latach ukazał się pierwszy numer: „Cri du Peuple„ (Krzyk ludu), wydawanego już ongi, w pierwszych miesiącach roku 1871.

I we wszystkiem brała udział przyjaciółka. Przyjaciółka i córka. Prowadziła korekty, mogła robić poprawki w tekstach mistrza. Gdy poczęło wychodzić własne pismo Vallesa wciągnęła się w szereg współpracowników. A on, rozbudziwszy w niej talent czuwał nad nim, jak pasterz nad ogniskiem zapalonem na hali, baczył by na wietrze dobrym było, by węgielek żaden nie zmarniał, bo wieczór chłodem tchnął i owce wkoło stały zbite w rotę, dymiącą się od płynącej z ich ran mgły...

Niedługo trwały te czasy. Vallès dostał suchot. Trzy lata ciągnęła się słabość, a z każdym dniem nastrój chorego stawał się coraz cięższym, coraz przykrzejszym. Drobnostki raziły go. współpracownicy kaleczyli prowadzeniem pisma na własną rękę. Jedna Séverine odczuwała go, rozumiała jego oburzenie, gdy widział w walce wolnego ducha brak taktyki, uciekanie się do gminnego tonu, do obelg. Szła z nim ręka w rękę. A kiedy śmierć jak sęp szary rzuciła się na dogasającego, ona wytężyła ku zapasom ostatnie siły. Noce czuwała, odrywała się od dzieci i domu, weseliła przyjaciela, chociaż do oczu łzy napływały. Źrenice jego płonęły z gorączki jak pochodnie, cera zżółkła jak wosk, ona przenosząc go z łóżka do łóżka, niby dziecku mówiła, że wyzdrowieje wkrótce, że wnet będzie wiosna i razem pójdą na zieleń i słońce...

Po jego zgonie „komitet pięciu“ postawił ją na czele dziennika. Rozwiodła się tedy z pierwszym mężem, poślubiła docenta fizyki Guebharda. Czterysta tysięcy franków oboje z Guebhardem wyłożyli na pismo. Lecz upadło, a głównie dla tego, że nie mogli iść w jednym zaprzęgu zwolennicy jednych myśli, zbyt ambitni, każdy o sobie myślący...

Odtąd Séverine w obcych pismach pracuje. W „Gil Blasie“, „Eclair'ze“, „le Gaulois“, „le Journal“. Nie swoi to już, ale wszędzie jest sobą. Podpisywała się Jacqueline, Renée, teraz najczęściej Séverine. Nie masz jednej z krzywd ustroju współczesnego, jednej przewrotności, przeciw której nie podniosłaby głosu. Sama idzie, bez hufców, ale przypomina tych procarzy, których armie rzymskie wysyłały przed siebie, by pociskami rażąc, siali popłoch w duszę wrogów.

Takie są dzieje kobiety, która jest bezwątpienia najwybitniejszym publicystą Francyi, której talent spał długo, niby bryła złota w ziemi, nim w nią uderzył oskard górnika. Wybór artykułów ogłoszony w oddzielnym tomie p. n. Czerwone stronice (Pages rouges Paryż 1894) pozwala nam przyjrzeć się fizyonomii wielkiej pisarki.

Z czterdziestu trzech utworów, mieszczących się we wspomnianej książce, jedna czwarta odpada na cykl zatytułowany: „W czarnym kraju“. Powstał on w lipcu i sierpniu 1890 r. Saint-Etienne mieścinę w północnej Francyi, znaną z kopalń węgla kamiennego, srodze nawiedziła niedola. Katastrofa po katastrofie, wybuch gazów po wybuchu. Sto trumien zapełniło się do kilku dni, cała Francya jęknęła

Wtedy to pani Sevérine wyjechała na miejsce nieszczęścia. Przebyła w Saint-Etienne kilka tygodni, codzień niemal wysyłając do „Gaulois“ sprawozdania z rzeczy widzianych. A wetchnęła w nie tyle geniuszu, że do siedmnastu dni pismo zebrało dla nieszczęsnych czterdzieści dziewięć tysięcy franków, z jedynastu zaś luźnych doniesień utworzyła się całość piękna formą, prawdziwe arcydzieło artyzmu.

„Znam ja je, to bolesne życie górników.

Od pięciu lat śledzę wzrokiem tę armię biednych, kroczącą bez przerwy ku zgonowi, z kalekami w gwardyi tylnej, z głodem jako markietanką i pokosem ofiar na każdym etapie. Mą duszę dreszcz przebiega, nietylko gdy gazy wybuchną, ale ilekroć wypływa pytanie ich męczeństwa.

Zajmowano się nimi w polityce, zajmowano w ekonomii społecznej, wszędzie. Ale nie budzono dla nich współczucia, nie mówiono do serc o ich losie.

Czasem zjeżdża do kopalń komisya, pokazują jej kilka wierzchnich korytarzy i potem uściski dłoni i: „bardzo dobrze panie dyrektorze“, albo „bardzo dobrze panie inżynierze“.

Ja w głąb sztolni schodziłam!

Ten co wydobywa węgle, zstępuje do zagłębi o czwartej rano, zimą i latem, idzie „szczeliną“: spadem mniej lub więcej nagłym, nierównym, wyboistym, zabagnionym, dokąd woda nieustannie ścieka z góry. Czterdzieści, pięćdziesiąt minut takiej drogi. Kto woli, spuszcza się „klatką“. Spada na dół z zawrotem głowy, a niechaj sznur w narzędziu przetrze się — śmierć

Następuje pełzanie w galerye, na brzuchu, z lampą w dłoni. Bo wysokość wejścia do pracowni: 60 centymetrów.

Za dwanaście do czternastu godzin pracy, w czadzie okruchów węglanych suszących płuca, w błocie, otrzymuje w Bert górnik 3 franki 29 centymów, w departamcie Loary 3 fr. 80 ct., nad cieśniną Kaletańską 4 franki. Z tego musi opłacać „sklepienie“ t. j. utrzymanie za pomocą słupów drewnianych wyższych warstw węgli w miarę jak posuwa się w kierunku podłużnym, dziennie 50 centymów i „taczkarza“ chłopaka, dziecko lub kobietę wywożących dobyte węgle na miejsce windowania. Frank i 33 centymy. Pozostaje 2·17.

Nie koniec. Jeśli oskard nie może rozbić skał, muszą być rozsadzone prochem, na koszt górników. Były wypadki, że czterech pracujących z dwustu franków w przeciągu dwu tygodni wydawało — 180 na proch.

Kobiety, zaprzężone do taczek, wyschłe, zgięte, dzieci ledwie podrosłe, rachityczne. Piekło cierpienia. Po trzydziestu latach robotnik będzie miał „pensyę“, taką, że z głodu przy niej umrze...

A i to gdy go gaz oszczędzi. Ten nie lituje się. Zabija, zabija, zabija. Wyrywa oczy, miażdży twarze, poraża nogi lub ręce. Często oblicze jest niby maska japońska. Czasem czaszka przebita i mózg przez nią wyciekł i rozum uleciał, jak ptak pod błękity.

„Widziałam emerytów. Reumatyczni, szarpani gośćcem, zczerniali. Rzekłbyś pnie strupiałe drzew, rysujące się nocą czarno nad zwierciadłem stawu“.

„Noc skąpana w promieniach, świetlna. Pod błyskami księżyca śpi szczęśliwa. Żniwa ugięte pod ciężarem kłosów, nad wszystkiem powiew szczęścia i zadowolenia.

W dali na równinie słowik zaśpiewał. Głosik jego tak kryształowy i dźwięczny, że stłumia dyszenie pociągu, chrzest wozów, brzęk żelaztwa. Ach ten piękny i dobry kraj Niwernii.

Ziemia żyzna, tylko końcem rydla ją porusz, tak bogata, że zda się wszystko ptactwo Francyi znosi tu ziarno dzióbkiem, nie wybiera.

Któż to mówi, że biedni umierają z głodu, lub imają się pracy, która zgon przyśpiesza. Chodźcie: tu zboże, chleb dla was, patrzcie: tam winna latarośl, wino.

Lecz ziemia poczyna zmieniać wygląd, a nim słonko zeszło, w inną krainę wjechaliśmy. Usypana wzgórzami poszarpanemi, zasiana czerwonym piaskiem. Naraz po prawej ręce na spadzie wzgórz pierwsza zagłąb, nad nią natychmiast, niby stado czarnych kruków z rozpiętemi skrzydłami — cmentarz kopalni. Zły znak.

„Czarny kraj", ojczyzna katastrof. Saint-Etienne.

Na dworcu oczekiwał przybycia pisarki Michał Rondet, sekretarz syndykatu górników. O dziesiątej pogrzeb.

— Droga idzie w górę, pod kopytami koni węgiel, w powietrzu pył węglany. Oddecha się węgielkami.

Naraz placówki z bronią przy drodze, przed palisadą, otaczającą sztolnię. Tę palisadę przerwał onegdaj tłum ludu, chcąc dostać się na miejsce katastrofy.

Ciżba przed bramą, w głębi kornety sióstr miłosierdzia. Wykrawują ze starych sukien całuny, a jest dla kogo. Sto dwadzieścia trumien.

Potrzeba mieć duszę tak głęboko wrażliwą, tak piękną i silną, jak Séverine, by stworzyć opisy podobne do tych. Rozdzierające sceny pogrzebu, widok rannych, sztolnia Pelissier, do której tylko ci schodzą, którym „życie się sprzykrzyło", niedola pracowników występująca z całą zgrozą podczas strasznych chwil. W każdem zdaniu bije wielkie serce entuzyastki i poetki. I nawet wypadki jakby sprzyjały jej artyzmowi. Po wrażeniach bolesnych czekają miłe. Po obrazach ponurych, nastąpi świetlny.

„Nim opuścicie Saint-Etienne — mówił do mnie dzielny adwokat tamtejszy Leon Portier — przyjdźcie zwiedzić małą kopalnię w Rive-le-Gier, której praw miałem zaszczyt bronić przed sądem".

W r. 1886 kompania Rive-le-Gier upadła. Woda zalała miny, dla pracujących był to straszny cios. Wobec tego państwo nakazało prowadzić dalej eksploatacyę.

Ale w kasie kompanii wiatr przewiewał. Wtedy robotnicy wpadli na myśl zakupienia w drodze akcyj prawa kopania i do pięciu lat spłacili 400.000 franków. Akcye kosztowały każda sto franków, robotnicy płacili pracą dwóch dni w miesiącu. Uchwalono, że na wypadek śmierci, odejścia na pensyę, albo posiadania akcyj, otrzymają zwrot stu franków. Tylko praca w minie uprawnia do wspólnych zysków.

Wł. Bugiel.

Paryż, w styczniu. (Dok. nast.)

Nowy dramat Ibsena.

(Kor. wł. „Myśli").

Berlin, 12. Stycznia 1895.

Wracam wprost z „Deutsches Theater", pod świeżem wrażeniem trzyaktowego dramatu Ibsena pt.: „Mały Eyolf", który podobnie, jak *Mistrz Solness* nosi na sobie wybitne cechy symbolizmu.

Rzecz dzieje się w majątku ziemskim, leżącym nad fjordem, w odległości kilkunastu mil od Chrystyanii.

W akcyi przyjmują udział: Alfred Almers, obywatel, a zarazem literat, Rita, jego żona, Eyolf, 9-cio letni ich synek, kulawy na jedną nogę, Asta, przyrodnia siostra Alfreda, inżynier Borgheim i w jednej scenie wchodzi znachorka; jestto postać symboliczna, zupełnie analogiczna z marynarzem w „Pani z Morza", towarzyszy jej nieodłącznie mały piesek, który ma jej pomagać w tajemniczych praktykach.

Z rozpoczęciem się sztuki Alfred powraca z wycieczki w góry, gdzie szukał spokoju i miał pisać w dalszym ciągu swoją rozprawę: „O ludzkiej odpowiedzialności".

Nie znalazł on jednak spokoju w górach, nie napisał również ani jednego wiersza.

Alfred mało zajmuje się swoją żoną, zdaje się, iż o wiele więcej kocha Eyolfa. Przeciwnie. Rita kocha Alfreda namiętnie, niepodzielnie i nie chce dzielić miłości nawet z własnym synem.

Pragnąc wzbudzić zazdrość w mężu, grozi mu, iż odda się pierwszemu lepszemu mężczyznie.

Gdy i tem nie osiąga skutku, przypuszczając, iż zbytnie zajęcie się Eyolfem jest przyczyną tej oziębłości, pragnie więc żeby on nie istniał, bo ma „złe oczy".

Pragnienia jej wkrótce się spełniły. Eyolf wpadł do wody i utonął.

Po tym wypadku nastąpiło jeszcze większe oziębienie wśród małżonków; wyrzucają oni sobie wzajemnie, iż pośrednio stali się przyczyną jego śmierci, gdy bowiem był małem dzieckiem, pewnego razu wśród uniesień miłosnych zostawili go bez dozoru na stole; straciwszy równowagę, spadł na ziemię i złamał nogę, w skutek czego został kaleką; gdyby nie był kulawym, może zdołałby się wyratować.

Tak więc dziecko, które właściwie powinno wpłynąć na zbliżenie się małżonków, staje się przyczyną oziębienia ich stosunku.

O ile Alfred coraz mniej ma sympatyi do żony, o tyle coraz więcej zaczyna kochać Astę, która również zdaje się, iż pała ku niemu inną miłością, nie braterską. Gdy więc inżynier Borgheim, wyznając miłość Ascie, wyjawia chęć zaślubienia jej, ta odpowiada mu odmownie, twierdząc, iż mogłaby należeć w połowie.

Niezwykła ta miłość wśród rodzeństwa staje się wkrótce wytłómaczoną, gdyż Asta z pozostałych po swej matce papierów dowiaduje się, iż ojciec Alfreda nie był jej ojcem, więc ona nie jest jego siostrą.

Wtenczas, nie czując się na siłach do dłuższej walki z sobą, Asta, pomimo próśb obojga Allmersów, opuszcza ich dom.

Wyjazd Asty wywarł ogromnie przygnębiające wrażenie na Alfredzie, dopiero teraz spostrzega jak ją kochał a małżeństwo swoje uważa za grzech straszny. Ritę bowiem zaślubił ze względu, iż miała majątek, że była piękną, nie było jednak pomiędzy nimi pokrewieństwa dusz.

Po wyjeździe Asty, zapanowała wśród Allmersów jeszcze większa pustka. Między małżeństwem niema miłości, jest tylko próżnia.

Wykonanie „Małego Eyolfa", jak to wreszcie zwykle bywa w „Deutsches Theater", było świetne. Alfreda Allmersa grał Reicher, Ritę Allmers — Sorma, Astę Allmers — Hochmann-Zipfer, Eyolfa — Pauli, inżyniera Borgheima — Rittner, znachorkę — Wilbrand-Bandius.

Publiczność niezbyt przychylnie przyjęła sztukę, która rzeczywiście robi wrażenie trochę denerwujące. *A.*

GŁOSY PRASY POLSKIEJ I OBCEJ.

Jubileusz i nekrolog stańczykowski.

„Kraj" w ostatnim zeszycie przypomina, że w r. b. przypada ćwierćwiekowa rocznica wydania „Teki stańczyka", która drukowała się w r. 1869 w „Przegl. Polskim", a w r. 1870 wyszła w oddzielnej broszurze. Składa się prawie wyłącznie z samych listów, pisanych przez różne typy ówczesnych publicznych postaci galicyjskich. Jeden artykuł w *Tece* pt.: „Rozmowa Piotra z Pawłem" niema formy listu. Należy on do najciekawszych, gdyż znajduje się tam wiele punktów przytomnego uzasadnienia poglądów stańczykowskich. Wyjaśniwszy istotę Teki (z zacytowaniem niektórych listów J. Szujskiego), snuje p. L. Straszewicz w dalszym ciągu następujące uwagi, które pewnie sympatycznie zostaną powitane przez „Czas" krakowski. Oto, co pisze: „Stańczycy brali wciąż czynny udział w pracy dla przyszłości w Galicyi. Oni protestowali z gwałtowną stanowczością przeciwko krzywdom społecznym (artyk. St. Tarnowskiego: „Porcye"), oni wystąpili z projektem szerokiej reformy administracyjnej, na której całkowite urzeczywistnienie długo jeszcze czekać wypadnie; oni wzywali bezustanku do pracy nad podniesieniem oświaty i sami gorliwie pracowali. Bobrzyński dziś ich idee wciela ku powszechnemu zadowoleniu i ku wielkiej korzyści kraju. Przez czas długi, kiedy obowiązującym tonem w prasie warszawskiej było urąganie Galicyi, robiono Stańczyków odpowiedzialnymi za upadek. Wy rządzicie — rozumowano — wy nadajecie kierunek sprawom wszelkim, na was więc spada hańba. Kiedy poczęto przebąkiwać tu i owdzie, że może tak ostatnio nie jest, kiedy nawet pesymista, członek klubu postępowego w sejmie p. Szczepanowski mówił o korzyściach zdobytych, kiedy wreszcie na wystawie lwowskiej na własne oczy oraz z pism francuzkich, niemieckich, rosyjskich, przekonaliśmy się, że Galicya przez lat 27 nie drzemała, nie zadowalniała się śpiewkami, strojami, politykowaniem, lecz

uczyła się i pracowała poważnie a skutecznie — możeby wypadało powiedzieć: kiedyśmy winili ich za upadek, tośmy powinni obdarzyć uznaniem za postęp. Tego się jednak stańczycy nie doczekają. Tak się nie dzieje na świecie. Piętno jakiegoś odstępstwa, gasicielstwa zostanie im na zawsze w opinji, chociażby nawet historya oceniła ich jaknajpochlebniej.(!)

Rola ich skończona, ale właśnie dlatego skończona, że myśl, program, który oni reprezentowali, przyjął się całkowicie, tworzy dziś grunt życia całego (?! Red.) „Tekę“ ludzie na wiarę innych, siłą nadanego pędu i dziś potępiają i wyklinają, miano stańczyk austryacki czy pruski długo jeszcze pozostanie urągliwem przezwiskiem. W wyobrażeniach jednak zaszła wielka, choć często niedostrzegalna zmiana“. — Tyle stańczyk o stańczykach.

* * *

Zkąd się biorą pesymiści?

Takie zadał sobie pytanie p. W. Lutosławski i odpowiada na nie w pierwszym zeszycie „Ateneum“ z r. b. Pesymizm, to choroba społeczna, obezwładniająca coraz to liczniejsze zastępy ludzi bez różnicy płci, wieku, powołania, majątku. Pesymiści-teoretycy, jak Schoppenhauer lub Leopardi, nie mieliby wielkiego wpływu, gdyby nie było ludzi z usposobieniem do rozpaczy. To zaś usposobienie ma swoje źródło najpierw w wychowywaniu dziecka, we wpływie bon, króre od czwartego roku życia mordują młody umysł. I odtąd zaczyna się przygotowywanie człowieka do pesymizmu. Wadliwe wychowanie zakorzenia w człowieku trwałą skłonność do pesymizmu, życie przynosi z sobą wiele warunków, sprzyjających rozwojowi tej choroby — więc pesymizm wzmaga się ustawicznie. A że ludzie często nie lubią pracować, nie mogą też znaleźć na pesymizm lekarstwa. Ten, co coś robić umie, zawsze znajdzie zadowolenie i uspokojenie w pracy. Uogólnienie znów własnego zniechęcenia prowadzi do pesymizmu. Ci, co mają wielkie zasoby zdrowia, niełatwo ulegają zarazie, choćby najwięcej byli narażeni na jej działanie. Jeżeli samobójstwo wolno jest poczytać za skutek pesymistycznego nastroju ducha, to statystyka samobójstw upoważnia nas do mniemania, że celibat sprzyja pesymizmowi, natomiast życie rodzinne go zmniejsza. Sprzyja rozwojowi tej choroby literatura pesymistyczna, która zaraża umysły, nie mające środków lub zdolności do sprawdzenia twierdzeń pesymistycznych. Te są przyczyny pesymizmu przez p. Lutosławskiego w artykule cytowanym podane, a przez nas w streszczeniu uwzględnione.

ZE STOŁU REDAKCYJNEGO.

*** *Nowy Atlas anatomiczny.* W Genewie ukazało się wspaniałe wydawnictwo, wykończone wspólnemi siłami: prof. Zygmunta Laskowskiego, rysownika Zygmunta Balickiego i właściciela miejscowego zakładu litograficznego p. Brauna. Każda z wymienionych tu osób w zakresie współpracownictwa swego dała dowody pierwszorzędnego uzdolnienia, rezultat zatem przedstawił się świetnie. Nowy „Atlas anatomiczny“ dla użytku lekarzy i artystów przewyższa, według fachowych opinij, pod wieloma względami wszystko, co na tem polu do tej pory zdziałano. Wydawnictwo składa się z 15 tablic formatu 60 cm. na 80 cm., rytych i chromolitografowanych na pięknym papierze holenderskim, z dodanym w osobnej książce tekstem, objaśniającym w językach francuskim i łacińskim — wszystko w ozdobnej oprawie. W atlasie tym zastosowano pierwszy raz do roboty tego rodzaju chromolitografię, a niektóre z tablic wymagały nakładania kolejnego aż 18 różnych barw. Znaczy to, iż wypadało je ryć kolejno na 18-tu osobnych kamieniach i 18 razy wykonywać z każdej odbitki. Na 1.000 wypuszczonych w obieg egzemplarzy atlasu, potrzeba było 160.000 odbitek i 200 wielkich płyt kamiennych, rytych z osobna dla każdej barwy. Wydawnictwo kosztowało kilkadziesiąt tysięcy franków, wobec czego już, nie licząc olbrzymiego wkładu pracy, cena egzemplarza w drodze prenumeraty na 65 fr., po za nią zaś 100 fr. oznaczona, wyda się nizką i ani w przybliżeniu nie wytrzymuje porównania z ceną poprzednich tego rodzaju wydawnictw, które wartością stanowczo przewyższa. Praca nad „Atlasem“ zajęła prof. Laskowskiemu trzy lata czasu, szereg jednak kartonów, w okresie tym przygotowanych, to niespożyte świadectwo wyjątkowego uzdolnienia. Między innemi tablica naprzykład, przedstawiająca rozgałęzienie nerwu „wielkiego sympatycznego“ na pełnej figurze osobnika o rysach Dantego, ma być, jak piszą z Genewy, „obrazem“ niedełdwie, który wypada ująć tylko w ramy i zawiesić na ścianie ku uciesze oka.

* * *

Prof. St. Tarnowski, oceniając bardzo pochlebnie poezye K. Tetmajera z właściwemi sobie zastrzeżeniami, takie snuje uwagi ogólne:

„Myśleliśmy oddawna, myślimy dotąd, jak pan Małecki w „Żywocie Słowackiego“, że „złota księga wielkiej poezyi zamknięta jest na długo“. Nie ma jej dziś nigdzie w Europie; grunt odpoczywa po niezrównanie obfitym i świetnym urodzaju w pierwszej połowie wieku. Wierszy dzisiaj dużo, talentów prawdziwych nie dużo, a najmniej pierwiastków nowych, własnych, żywotnych. W formie (nawet u słabszych) dźwięcznej i gładkiej (co po Zaleskim i Słowackim stało się już rzeczą względnie łatwą i zaletą niemal mechaniczną), w formie (u najlepszych) istotnie bardzo misternej i ładnej, znajduje się tam odziedziczone po Słowackim rozmarzenie i roztęsknienie, znajdują się (w różnych stopniach) jego niewieście gracye i kaprysy, czasem (gdzie ma być myśl ważniejsza) znajduje się przerobiony na wiersz artykuł z dziennika lub podręcznika pozytywnej filozofii. Jedyna nowość, to echa nowoczesnych doktryn, jakie się słyszą czasem w poezyach pani Konopnickiej, której talent wydaje nam się jednym ze świetniejszych między współczesnemi i jednym z więcej męskich między tymi mężczyznami.

Tym razem zdarza się zjawisko rzeczywiście nowe: smutne niezaprzeczenie, ale odmienne od całej tej masy wierszy, do jakich nas przyzwyczajano. Talent prawdziwy. Myśl i uczucie (jakiekolwiek są) wyrażają się śmiało i silnie. Wyobraźni przynajmniej tyle, ile jej potrzeba, żeby wszystko powiedzieć dobrze, z życiem, nie niesmacznym, powszednim, oklepanym sposobem (czy więcej?— nie można poznać z samych drobnych wierszy). Władanie językiem i wierszem bardzo pewne i łatwe: młody poeta tak umie giąć materyał słów i dźwięków, że pozwala sobie czasem pisać wiersz, który zdaje się nie mieć rytmu, a przecież w tej pozornej dowolności jest rytm i dźwięk doskonały. Styl zawsze stosuje się do rodzaju uczucia, czy myśli, jakim służy za kształt. Rozmaitość jego tonów, od lekkiej gracyi do wzburzonej namiętności, jest wielka — a stopień gracyi, czy namiętności, zawsze taki, jakiego potrzeba. Z tego wynika, że talent p. Kazimierza Tetmajera wydaje nam się prawdziwszym, silniejszym od wielu, jakie nam się w tych czasach spotykać zdarza. Ale w tem jego zalety dopiero — nie ta nowość, jaką on daje w swojej poezyi widzieć i poznać. Nikt więcej od nas nie ceni pięknej formy; ale po wielkich poetach (po Słowackim zwłaszcza), język i wiersz doszedł do takiego stopnia wyrobienia, po Asnyku pewna miękkość, gracya i pozorna niedbałość (ze Słowackiego poczęta) tak się rozpowszechniła, że dziś już tylko człowiek zupełnie pozbawiony talentu może pisać wiersze niezgrabne, a ich giętkość, dźwięk, misterność może być skutkiem mechanicznego tylko naśladowania i znaleźć się nawet tam, gdzie talentu jest naprawdę mało.

A więc, jeżeli nie w tej udatnej formie, to w czem jest ta odmienność, która każe uważać Tetmajera za zjawisko nowe?

W — pesymizmie......

Notatki literacko-artystyczne.

Z teatru. Dla braku miejsca musimy odłożyć obszerniejszy przegląd teatralny do następnego numeru. W ostatnim tygodniu ujrzeliśmy przestarzałą „Kawę“ ks. Czartoryskiego z ubiegłego wieku, w której staro szlacheckie motywy walczą z francuską naleciałością. Rzeczy tej można było nie otrzepywać z kurzu bibliotecznego. Obrazek Z. Przybylskiego. „Zjazd koleżeński“ posiada wiele wdzięku i prawdy, a rodzajowy obrazek Domnika (Dorowskiego: „Wigilia św. Andrzeja“ pełen jest prawdziwego sentymentu i swojskiego ciepła. — Za kilka dni ujrzeć mamy „Madame sans gêne“. komedyę W. Sardou.

* Na obchód rocznicy Bogusławskiego przybył do Lwowa wnuk założyciela sceny polskiej. Wł. Bogusławski z Warszawy.

„Bohaterowie życia“. Pod tym tytułem ukazał się zbiór nowel Fr. Rawity, (nakładem W. Zuckerkandla w Złoczowie), któremu poświęcimy w następnym numerze oddzielne uwagi.

* Al. Świętochowski rozpoczął *w Prawdzie* druk nowego poematu prozą pt: „Duchy“.

* Dwa nowe utwory E. Orzeszkowej drukują pisma warszawskie, mianowicie *Ateneum* („Bracia“), i *Echo teatralne* („Wielki“).

* *P. Władysław Mickiewicz* w w piśmie Maurycego Barresa, *Cocard*, w Paryżu zaczął drukować w odcinku dłuższe studjum o wykładach ojca swego, Adama w Collegé de France.

* Były artysta paryskiego Odeonu: Dutertre-Pluciński, stara się o posadę reżysera krakowskiego teatru.

* Z powodu częstej niedyspozycyi Karoliny Wolter, pierwszej dramatycznej artystki Burgteatru, intendantura cesarskich teatrów powołała na stanowisko przedstawicielki ról dramatycznych Adelę Sandrock, artystkę teatru ludowego. Prasa wiedeńska, ceniąca wysoko talent p. Sandrock,

powitała nominacyę tę z wielkiem zadowoleniem, gdyż p. Sandrock niepospolitym talentem i pracą zdobyła sobie u publiczności wiedeńskiej wielką popularność.

* W lwowskim salonie sztuki zwraca uwagę portret własny Kotowicza. Jest w nim wielka dokładność, staranność i pewna harmonia; sympatycznie działająca, ale brak mu werwy i życia. „Matka Boska" Styki ma wyraz bardzo tragiczny i silny, koloryt i rysunek doskonały, tylko pęk promieni spadających na głowę Maryi bardzo niegustowny a karnacya zbyt ciemna i szorstka.

Z nowych nut, na szczególniejsze odznaczenie zasługuje „Mazurek" T. Pollaka. Posiada wiele misternego wdzięku i świeżości, owiany jest wonią poezyi i wykwintu. Melodya, łatwo uchwytna, w pomyśle bardzo gładka, proporcyonalna, ujęta jest w dobre harmonie i przystępną formę.

* *Goethe o dyletantach.* We Frankfurcie nad Menem znaleziono świeżo list Goethego do Eckermana, w którym autor „Fausta" pisze: „Nadesłano mi kilka rękopisów do oceny. Bieda z tymi dyletantami! Nie widzą trudności, leżących w tem lub owem przedsięwzięciu literackiem, zawsze zaś chcą przedsiębrać, co przerasta ich siły. Ilekroć mam z dyletantami do czynienia, zawsze przychodzą mi na pamięć słowa Mozarta: Niema nie niebezpieczniejszego nad dyletantów: albo nie mają własnych myśli, a wówczas biorą je, zkąd wziąć mogą, albo też mają własne pomysły, a wówczas nie wiedzą, co z tem zrobić.

* Po tryumfach w czeskim i niemieckim teatrze w Pradze czeskiej, przybył Leoncavallo do Wiednia i porozumiewa się z operą nadworną względem przedstawień opery jego: „Medici" i baletu „Reineke-lis".

* [illegible]wo muzyczne wiedeńskie obchodziło jubileusz 25 lat [illegible]no przy tej sposobności uwerturę z „Prometeusza" [illegible] roku".

W jednym z następnych numerów *Myśli* rozpoczniemy druk większej powieści, osnutej tle galicyjskich stosunków współczesnych.

TREŚĆ: Dźwigamy się... — Marya Konopnicka: Ze wspomnień o Teofilu Lenartowiczu. (Duchowe oblicze poety). — Wiersz, J. Nitowski: Z chwil czarnych. — Przez redak.: Z ognisk sztuki. — Wolne myśli. — W. Bugiel: Pani Sewerine (sylwetka). — A.: Nowy dramat Ibsena. — Głosy prasy polskiej i obcej. — Ze stołu redakcyjnego. — Notatki literacko-artystyczne. — **W odcinku:** Fr. Rawita: Bez przyszłości. (Obrazek jakich wiele). — Ogłoszenia.

OGŁOSZENIA.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Ludwik Arbaszewski.** Z drukarni L. Arbaszewskiego Słowackiego 4.